

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.— kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciły mąd kwartal. 1 Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem pętyl w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

I.

DWA ŚWIATŁA.

(Ciąg dalszy.)

Wspomniałem już, że te dwa okna należały do jednego pokoju, a z ich opisu można już wnosić, że pokój ten miał dwóch właścicieli. Wszedłszy wewnątrz ujrzemy we wszystkich jego sprzętach i całym urządzeniu tę samą różnicę kontrastującą z sobą w każdej drobnostce, pomimo, że obu gospodarzy wiązała jakaś przyjaźń niepojęta, jakiegoś nieodgadnione związki i stosunki. —

Pokój ten było duże czworobok bez żadnych oczywistych przedziałów; ale na pierwszy rzut oka wpadła wchodzącemu jakaś linia demarkacyjna, która tę przestrzeń dzieliła wyraźnie na dwa różne od siebie przybytki. Zdało się, że nawet atmosfera nie czyniła wyjątku z tego ścisłego odgraniczenia. Gdy bowiem po lewej stronie widać się zwolna sine, przeźroczyste kłęby dymu, okazujące wonią wyborną sortę tytoniu zagranicznego, gdy przez czyste szyby przebijały się tamże złociste promienie, odbite od różowej chmurki pięknego jesiennego poranka, a oblewając dziwnym światłem znajdujące się tamże przedmioty, nadawały im życia i pewnego ruchu, drugą połowę napełniał jakiś dym żółto-brudny jak wyziew z pogorzelska, a rozstawione w niej uboższe sprzęty wyglądały w tem przyświeconym świetle, jak smutne ruiny jakiejś świetniejszej przeszłości, dzisiaj leżącej w gruzach i zapomnieniu. Ten sam refleks chmurki różowej, który tamtą połowę pokoju przystroił w barwy tak urocze i zachwycające, zawisł tutaj na brudnych i zapyłonych szybach pajęczyną obilonionego okna, i pomalował na nich jakieś mapy krajów nieznanych. Tylko czerep czaszki człowieczej cieszył się jaśniejszym strumykiem światła. Przedarł on pył i pajęczynę, lecz padłszy w otwór oka, zagrzebał się zawistnie aż na dnie tej ciemnej komory, kędy niegdyś świeciła słaba świeczka rozumu ludzkiego!

Cała połowa tego pokoju miała jakieś inne, właściwe sobie światło. Wszystkie przedmioty były nasepione cieniem

zimowym, a przedłużone ich kształty tonęły w sennem pół-omroczu. Panował w prawdzie jakiś dziwny systemat spokoju i porządku, lecz bez najmniejszego życia i ruchu. Wszystko miało swoje dobrze obmyślane przeznaczenie, lecz było bez związku całości, nie miało melodyi, ani kolorytu. Każda rzecz istniała i żyła dla siebie, lecz w całym jej ustawieniu nie było żadnego wzajemnego stosunku.

Jakkolwiek różnica okien, nadających temu pokojowi oświetlenie, głównym mogła być powodem tego rozgraniczenia atmosfery, światła i barwy na dwie przeciwległe sobie połowy obrazu, nie mniejszy jednak wpływ na ten rozdział wywierało usposobienie i sposób życia obu gospodarzy.

Są oni właśnie w pokoju.

W jaśniejszej przeźroczy kołysze się na miękkim fotelu jasnowłosy młodzieniec, popijając z porcelanowego kubka napój ciemno-brunatny i paląc przytem wonne cygaro. W rękę trzyma ilustrowaną książkę francuską i czasami w nią spogląda okiem roztargnienia i dziwnie rozmarzonym. Ubiór jego ranny składa się z szlafroka tywyckiego w turecki deseń, z żółtych, kończastych pantofli i mycki czerwonej z dużym kutasem na głowie. W koło niego rozrzucone rzeczy okazują, że późno w nocy przybył do domu, i bez świecy do łóżka się położył.

Przestrzeń od łóżka, które do okna przypierało, aż do drzwi, zajmował orzechowy fortepian, którego brodaty właściciel regularnie co miesiąc go odwiedzał, w jasne białe zęby zaglądał a po wynurzeniu swego zadowolenia, obdarzony małym honorarium za drzwi się wynosił. Węższy róg klawikortu służył w rannej porze za podstawę srebrnej miednicy, obok której leżały szczotki i szczoteczki różnego rozmiaru i przeznaczenia, których wszakże właściciel nie zawsze używał, ale je miał z nałogu i ze zwyczaju.

Z drugiej strony, przy łóżku, wypłowiła koldrą starannie zaslanem, stał stolik obciążony czarną farbą olejną, gdzie niegdzie od rąk wytarty i sponiewierany. Na stoliku stała świeczka łojowa, zatkana w starą, stłuszczoną fiaszkę szampana, która była niegdyś nabytkiem drugiej połowy apartamentu, a straciwszy treść swoją, przeszła do zimnej strefy północy. W koło tego świecznika rozparły się różne wydania i pisma literatury starożytnej, poprzedzielane w środku kartami siwego papieru, na których drobnym pismem poczynione były jakieś zapiski, uwagi i wyciągi.

Był to niejako protokół czynności gospodarza, na który co ranka z widocznym patrzył zadowoleniem. Karty te zapisane od brzegu do brzegu, wychodziły z tych woluminów w których wylęgały się jakby zaród olbrzymich, przyszłych utworów, a zeszyte grubym szpagatem w całość systematyczną zajmowały znakomite miejsce obok ksiąg Arystotelesa, Pliniusza, Herodota i innych wielkich mężów starego świata.

Przy tym stoliku siedział młodzieniec niskiego wzrostu, czarnych włosów i bladej podłużnej twarzy.

Ukończył on już oddawna swój ubiór, a wglądając w siwe karty dzisiejszej nocy dokończonych zapisków, z widoczną roskoszą połykał wycytane z nich aforyzmy mądrości i nauki, mieszając je dla lepszej strawności z dużymi kawałkami czarnego chleba. Niedaleko od ksiąg, leżała czarna, dymiąca się jeszcze „szemnicka“ na króciutkim cybuszku, po którą właśnie teraz, polknawszy ostatni kęs chleba, sięgnął jej właściciel, aby po raz drugi zawarty w niej popiół przepalić.

Z roskoszą Diogenesa puścił ciemno-żółty kłęb dymu, aż jego sąsiad się zakrztusił, a odłożywszy na bok folianty i kwartanty, usiadł na drewnianym stolku na przeciw swego towarzysza.

Jasnowłosy młodzieniec musiał oczekiwać tej chwili bo patrząc z pod oka na swego towarzysza, i widząc jego nową postawę, pociągnął dosadnym łykiem ostatek napoju, a rzuciwszy książkę ilustrowaną, uczynił front do niego.

— A wiesz, kochany Robciu, odezwał się jasnowłosy połykając ostatki czekolady i wydmuchując kilka kłębów niebieskiego dymku — żeś mnie opowiedział rzeczy o których, myślałem, że się ani marzyło w twojej filozofii.

— A tak prawda, oryginał — odparł czarnowłosy posyłając w dziedzinę jasnowłosego potężną, jakby gradem obciążoną chmurę dymu, która atmosferze pogodnej zagrażała widocznym gromobiciem, — a tak... hodie nec cibis ori....

Tutaj uczynił nagle zwrot na prawo, a uchwyciwszy Owidiusza począł w nim przewracać, i szukać końca zaczętego cytatu. Znalazłszy, przeczytał kilka wierszy, powtórzył dwa razy na pamięć, a kładąc książkę na dawnym miejscu, wrócił na powrót do swojej pozycji.

— Lecz życzę ci teraz, zagadał znowu jasnowłosy, abyś miał więcej szczęścia niżeli dotąd, a osobliwie, kończąc już, nie braknie ci już pozycji socjalnej.

— Co dotąd?... co pozycji socjalnej?... przerwał drugi, a oliwkowa jego twarz przybrała kolor miedzi.

— Dotąd — odrzekł pierwszy swobodnie; boś nie powinien zapomnąć altanki z chmielu; a co do pozycji socjalnej, ta również może się odnosić do tej samej altanki...

Wyrzekłszy to jasnowłosy, przeciągnął się na miękkim

fotelu, a poprawiając się, spojrział z uwagą na nogi, czyli je ugrupował dosyć malowniczo. Zajęty swoją postacią nie zważał wcale, że jego towarzyszowi nagle jak sierść włosów czarny na głowie stanął, a z czarnej szymnickiej jak z paszczy działa lunął ognisty grad ostatnich szczątków rozognionego popiołu. Do tego przyłączyło się dosyć głośno krząknięcie, i skrzyp posuniętego stolka, poczem nastąpiła przeciągła, wiele znacząca pauza. Tymczasem w gorącą jeszcze szemnicką wszedł nowy nabój tytoniu węgierskiego. Rozrzutność taka była zawsze oznaką, że właściciel szemnicki zaczynał się alterować.

— Wiecznie ci tylko głupstwa w głowie zagadał po chwili pieszcząc się sinym dymkiem świeżego tytoniu — czas, aby o podobnych głupstwach zapomnąć.

— Zapewnie odparł pierwszy — nie łatwiejszego jak morały dawać drugim.

— Alboż mnie możesz jakie głupstwo zarzucić?... Wyjawszy...

— Z wyjątkiem... z wyjątkiem, to wiem, dopiero co opowiedziałeś mnie historią, a chociaż ona zawiera w sobie wyborny materiał do romansu na wielką skalę, u ciebie jednak zmarnieje i zastygnie jak te pliki siwego papieru Z wszystkiego tego zrobi się głupstwo i nie więcej.

— Że się robi głupstwo, a nie więcej, o tem wiem sam doskonale; bo gdzież ja ją ujrzę, kiedyż do niej przemówię jeżeli jej nie znam, kto ona jest, jak ona myśli i jak czuje?

— To nie mogłeś iść za nią?

— A przyzwoitość gdzie?

— Otóż skutki twoich przestrojonych wyobrażeń! Ja na twoim miejscu poszedłbym krok w krok za nią, przy drzwiach pokłoniłbym się grzecznie, prosiłbym o słówko na stronie, a jeżeli nie, to przynajmniej westchnąłbym w jej uszko tak przeraźliwie, żeby pewnie przez całą noc oka nie zmrużyła. Najkardynalniejszą rzeczą jest zainteresować, czy w dobry, czy zły sposób — a później sama rzecz się ułoży.

Nastąpiła znowu pauza między mówiącymi. Dwa potężne kłęby dymu zeszyły się na pograniczu linii demarkacyjnej i uderzyły brzuchami o siebie. Obaj gospodarze spojrzeli na tę walkę dymów i pociągnęli mocno z cybuchów aby w razie potrzeby posłać kombatantom posiłki. Lecz dymy, uderzywszy o siebie, wróciły się, każdy na swoje terytoryum, i zajęły stanowisko wyczekujące. —

Po tem zawieszeniu broni poczęła się znowu zwykła ranna pogadanka.

— Lecz mnie się to w głowie nie może pomieścić, przemówił jasnowłosy, że przy pierwszym widzeniu czyniła już takie kroki zaczepne.

— Wszak ci mówiłem, odparł drugi, że w całym tem zdarzeniu niema nic szczególnego, prócz niektórych drobno-

stek, które uważane same dla siebie, mają donośność ogromną.

— Mówisz jak filozof niemiecki!

— Właśnie repetowałem „*de jure caduco*” i szedłem ulicą ogrodu jezuickiego, gdy nagle usłyszałem za sobą jakiś śmiech pełen swawoli i pustoty. Obejrzałem siebie od stóp do głów, iżali ten śmiech nie tyczy się mojej figury, lecz niepostrzegłszy nic takiego, coby mogło obrażać „*decorum*” Inb rozsądnego człowieka rozśmieszyć, puściłem się dalszą drogą. Znowu ten sam śmiech, te same chichoty. Cierpliwości mnie nie stało, przemustrowałem jeszcze raz siebie, i jeszcze raz nic niepostrzegłem. Chciałem już boczna ulicą skręcić, gdy jakiś mały chłopczyk mnie za poły złapał i zagubione moje wypisy z Nasona „*libri amorum*” do ręki mnie wcisnął. Rozłożywszy manuskrypt ujrzałem wymalowaną na nim ołówkiem jakąś postać szpetną z długimi uszami, a obok niej były wyrazy: „*amo, amare, amavisti, amandum, amaturus.*”

— Po raz trzeci mnie opowiadasz, a zawsze jedno i to samo.

— Argumentum, że nie kłamie. — Otóż przeczytawszy tę konjugację, oglądałem się za autorem, ale za mną już nikogo nie było... Mówię ci, nie widziałem jej, ale sądząc z tego śmiechu i chichotania, i z tych ulamków jej pisma i rysunku, jestem pewny, że jest czarującej urody i niepospolitej nauki.

— Niewiem czy koniecznie trzeba być pięknym aby zachichotać, a tem mniej artystą, aby wymalować ośłą głowę.

— Zawsze ten sam płytki sąd rzeczy! Najprzód nie musisz te fakta odrywać na jedyrostki, tylko je wziąć w ich znaczeniu totalnem, szukać ideę powodu, a potem śledzić ją bacznie w następstwach możliwych.

— Ja nie widzę tu ani szczególnego powodu ani następstwa...

— Ba powodu! ba następstwa! Ecce! Każde uczucie w porodzie jest nieśmiałe, niepewne, niedowierzające. Nie wiedząc jak będzie przyjętem, wychodzi na świat pół żartem, pół-ironią. Otóż ta postać szpetna oznacza ironia, czyli uczucie „*in embrione*”, czyli w pierwszym „*stadium*” W słowach występuje już jaśniej określone, a w końcu przybiera tok decyzji. I tak „*amo*” oznacza, że piszący jest „*genus femininum*”, któremu „*principaliter*” ta atrybucja się przynależy. „*Amare*” ten „*infinite presentis*” wyraża żądę miłości bezpośredniej i jest niejako propozycją dla tego, na czym papierze to słowo jest napisane. „*Amavisti*” to „*perfectum*” jest wątpliwego znaczenia; może to albowiem być szyk pytajny „*interrogans*” lub wyrokujący. W pierwszym razie, czyni ona zapytanie, czy kochałem, w drugim razie wie ona już, że raz w życiu nieszczęśliwie kochałem: „*Amandum*” oznacza „*necessitatem amandi*, konieczność kochania, to jest: ona chce kochać koniecznie, jakkolwiek by była moja odpowiedź na tamte zapytania. Finalne słowo:

„*amaturus*” może mieć najwięcej wersyj. Albo jest finalnem zapytaniem czy ją kocham, albo wpiera tem słowem we mnie, że już ją kocham... albo...

— Albo że ci chciała wypłatać figla za to, żeś się nie obejrzał!

— Nie przeceż temu, że miłość własna kobiety, gdy jest obrażoną, i jej próżność może sięgnąć po miecz zemsty...

— A czemużeś ją obraził??

— A to czem? żem czytał „*de jure caduco*”?

— Było *jus* do kaduka rzucić, jeżeli się do ciebie chciała umizgać.

— A prawda, prawda... ale tak to zawsze literatom bywa... Są to ludzie, którzy nigdy nie umieją korzystać z chwili obecnej, bo ich ojczyzną jest przeszłość i przyszłość.

Ostatnie słowa wymówił z takim zapalem, taki kłęb dymu buchnął na terytorjum przeciwnika, że zanim tenże stosownym pociskiem mógł odeprzeć ten napad niespodziany, już go otoczyły gęste kłęby dymu, jak węże bliźniaki postać Laokoona.

W tem zaskrzypiały drzwi pokoju, a długa brodata postać w stroju orientalnym pojawiła się na progu. Był to przyjaciel domowy, Berko, zawsze usłużny i zawsze chętnie widziany.

Z powołania antykwaryusz, z profesyi faktor, zarabiał jak mógł uczciwy Berko na chleb powszedni, a chociaż zarobek ten odnosił się do różnych gałęzi przemysłu, nigdy jednak nie sięgał sfer zupełnie obcych. Co tylko z książkami, literaturą (rozumie się umarłą), literatami w niejakej było styczności, Berko we wszystkim umaczał ręce, targował lub pośredniczył, dziękował lub grabił. W lecie wybierał się z miasta, ale nie na to ażeby świeżego używał powietrza, ale aby brnął po łokcie w szpargałach po strychach szlachty i panów, którzy za umówioną ryczałtem kwotę, oddawali na wagę do rąk żyda, nieocenione przodków swoich archiwa. Tym sposobem zrobił Berko często gęsto dobry interes, bo właśnie w tym czasie zaglądał do Lwowa jakiś bogaty hrabia, dziwak, a może jeszcze i co gorzej, i zebrane przez Berka szpargały, hojnie płacił. Nieznane nam są bliższe rysy osobistości Berka, bo jak się zdaje, w całej ówczesnej społeczności nie było ich tylko dwóch, co siebie doskonale znać mogli. Lecz jeden o drugim nie pisemnego nie zostawił. Berko wcale nie był piśmiennym, a stare książki oceniał tylko instynktowo. Hrabia zaś za dobrze mu płacił, aby poczuwał się do obowiązku zapisania imienia antykwaryusza dla pamięci potomnych. Ztąd też i w pamiętnikach jego niema wzmianki o Berku.

To jednak nie ujmuje mu wcale naszej przynależnej estymy, bo osobistość Berka żyje dotąd w tradycyi studyozów, jako izraelity nader pocziwego, a co większa,

wielce usłużnego w każdej okoliczności biednego, akademickiego życia.

Taka to szanowna postać weszła teraz do pokoju.

Mimo wszelkiej estymy dla książek i literatów, hołdował jednak antykwaryusz od wieków zakorzenionym wyobrażeniom społeczeńskim, i pierwszy ukłon oddał szlafrokowi z pasową podszewką. Dopiero po długiej chwili raczył Berko spostrzedz czarną czuprynę literata, i niby od niechcenia kiwnął przywitanie.

— I cóż potomku króla polskiego Samuela, Dawidzie, Berko? zapytał się właściciel szlafroka tyftykowego, kładąc się w znak na fotelu.

Trzeba wiedzieć, że między rodziną starozakonną Wahl krąży tradycja, jakoby jeden z jej ramienia, Dawid Wahl, miał przez jedną noc w Polsce królować. Antykwaryusz nazywał się niegdyć Wohl; lecz dowiedziawszy się o tak zaszczytnej tradycji, przezwal się Wahl, a chociaż do potomstwa owego mitycznego króla nigdy się otwarcie nie przyznawał, milczał jednak wymownie, gdy mu o tem mówiono.

— Cóż wielmożny dobrodzieju, odparł z pokorą, może biedny żyd dla takiego pana przynieść, aj waj! żyd biedny, tylko biednemu coś może przynieść.

Do tych słów dołączył antykwaryusz gest tak zrozumiały, że drugiego, pokoju gospodarz mimowolnie z ręki Owidyusza opuścił, i na Berka spojrział.

— Więc do mnie przyszedłeś, panie Berko, przemówił do izraelity, to złe interesa musisz robić, bo cóż od biednego zyskasz?

— Niech pan Robert sobie zdrów żartują, a przez kogoż ja to zarobił, co mam? Niemówił mnie pan Robert: Berko, ta książka to złoto, to statut wiślicki, a jak przyjechał pan graf Ossoliński, to mnie złotem zapłacił. Mówią wprawdzie ludzie, że Berko durny, bo Berko na lichwę nie pożyczka, tylko szpargały skupuje, ale kiedy za te szpargały pan graf mnie dobrze płaci, to pewnie on sam durny być musi, czego Boże uchwaj! Tak mówią ludzie, a co Berkowi do tego?

Tutaj machnął antykwaryusz ręką, począwszy od lewego ucha aż do kolana lewej nogi, i zdawało się że machnął z pogardą na świat, na społeczeństwo.

Po chwili, przystąpiwszy bliżej do czarnego stolika, opowiedział biednemu juryście cel swoich odwiedzin. A tem była pocieszna dla biednego nowina. Powiedział on mu, w nader długim dyalogu, że przybyła z Przemyskiego rodzina znakomita, zleciła mu wyszukanie nauczyciela języka polskiego dla córki jedynaczki. Zerwał się biedny jurysta, aby z okazji korzystać, i z izraelitą pokój opuścił.

(C. d. n.)

MOSTEK.

(z Anastazego Grūna).

Znam ja mostek moja luba,
Gdzie się wiotki powój pnie,
Gdzie rozkoszna wiecznie wiosna,
Balsamiczną wonią tchnie.

Most od serca aż do serca
Dziwnym torem wiedzie wprost;
Toż miłości tylko samej
Wolny przystęp na ten most!

Miłość wzniosła most ten sztuczny
Z białych lili, z wonnych róż;
Jak kochanków blade cienie,
Dusze po nim błędzą wzdłuż.

Miłość sama łuk sklepiła,
Dała z kwiatów lekkie dno;
Miłość stoi tam na straży,
A całusy — mostu cło.

Chceszże widzieć dziewczę lube
Jak się stawia mostek mój?
Ja pokażę — pomóż tylko,
A przeminie smutek twój.

Spędź tę chmurkę z białej skroni,
W moje oczy spojrzysz wprost,
Usta twoje zbliż do moich,
I już wzniesion sztuczny most.

Romuald K...

STATUA

MAJŚ. PANNY MARYI

PRZED KOŚCIOŁEM

OO. KAPUCYNÓW W KRAKOWIE

(Ciąg dalszy.)

—
To opowiadanie, rozjaśniające zaszłe zdarzenia uradowało wszystkich, bo uważali iż tajemnica nakazana grabarzowi, da bezpieczniejsze schronienie uratowanemu od śmierci temu nieszczęśliwemu.

I tak się też stało.—Przez ciąg jego słabości nic nie zakłóciło ich pokoju; czekano tylko z uprąganiem czasu, w którymby zabliźnione rany, i wrócone siły, dozwoliły podług objawionego życzenia dostać się mu napowrót w szeregi konfederatów.

Dwa miesiące upłynęło od tego czasu, kiedy z rozpoczynającym się 1770 r. ponawiane codziennie prawie na-

pady konfederatów, często docierających aż do bram Krakowa, zawiadomiły ich mieszkańców o ich niedalekiej bytności. Korzystając z tej wiadomości, wyprawił swego gościa x. Zaremba, przebranego za chłopca za Wisłę.

Jak się ta wyprawa udała, długo nie miano wiadomości, i dopiero w kilka miesięcy odebrał przez gorala kartkę z temi tylko słowami:

Wdzięczny i zdrów pozdrawia swego dobroczyńcę.

Sokołowski,

Rotmistrz w dywizyi Puławskiego

20. lipca 1770.

Wiadomość tę zaraz udzielił x. Zaremba siostrze Pełagii i klerykowi Kawskiemu, i spólnie się cieszyli zdrowiem i postąpieniem na rotmistrza tego człowieka, którego poznawszy pobożność i dobroć pokochali. Lecz radość ta w krótkce zmieniła się w obawę; dowiedzieli się bowiem iż wojska rossyjskie wysłane z Krakowa w dniu 26. Lipca pod komendą podpułkownika Derewicza, udały się w góry, gdzie przebywał z dywizją swoją Puławski.

I sprawiedliwą była ta obawa o los Sokołowskiego, bo chociaż podpułkownik Derewicz powrócił w dniu 11. Sierpnia do Krakowa po znacznej stracie poniesionej w zadanej mu klęsce przez Puławskiego, jednak przywiózł z sobą kilku jeńców, a między nimi i Sokołowskiego.

Daremne były starania X. Zaremby o odwiedzenie go a nawet o udzielenie mu jakiegokolwiek wsparcia; bo Absielowicz, nowy komendant w miejsce Lobrego, zostawiony w Krakowie przez podpułkownika Derewicza, był człowiekiem jak najsurowiej postępującym z konfederatami.

Wyprosił sobie Sokołowski, iż mu w święto narodzenia N. P. Maryi dozwolono odprawić spowiedź. Korzystając z tego, przesłał przez spowiadającego go księdza z kościoła zamkowego następną listowną wiadomość:

„Rannego i przywalonego zabitym pod nim koniem, zabrał w jednej utarczce w niewolę oddział Rossyan prowadzony przez majora Oszaków, i że z jego rozkazu mając starannie rany opatrzone, cieszy się zupełnie odzyskanem zdrowiem i nadzieją, że w krótkce wolnym będzie.“

Po tych słowach podkreślonych w liście, była prośba aby przed wiadomym mu obrazem N. P. Maryi, zaniósł za niego modlitwę, iżby raczyła wyjednać błogosławieństwo w jego przedsięwzięciu.

Skończył się Wrzesień, minął Październik, a nie było o Sokołowskim żadnej wiadomości: dopiero w dniu 6. Listopada przybył do X. Zaremby ten sam spowiednik z kościoła zamkowego, i temi słowy zwiastował mu smutny wypadek:

—Podobało się Bogu nawiedzić cię bracie duchowny cierpieniem, twój przyjaciel Sokołowski nie żyje!

— Nie żyje powtórzył X. Zaremba głosem żałości pokrywającej oczy jego łzami.

— Dzielę tę żalność, i z łzami twojemi moje łączę,

bo na to zasłużył ten młodzieniec pobożnym i cnotliwym życiem. Że takim było, my powiernicy jego sumienia najdokładniej wiemy, gdyż on przed nami jak przed sądem Bożym stawał za życia, które zakończył jako męczennik.

Dzisiejszej nocy już się udawałem na spoczynek, gdy świątnik z kościoła katedralnego donosi mi, że posłano z pałacu po księdza do umierającego. Przybyłego z wziętym z kościoła przen. Sakramentem, wprowadza mnie oficer rossyjski do więzień wielkorządowych. Światło z latarni asystującego świątnika oświeciło mi o tyle ciemne sklepy tego więzienia, iż dopatrzeć mogłem kłęczących w okóło ludzi, pomiędzy któremi robiący przejście oficer, doprowadził mnie do leżącego na rozrzuconej słomie w końcu drugiego sklepu człowieka prawie nagiego, a którego ciało nabrzmiałe, sine i skrwawione, tak okropne na mnie zrobiło wrażenie, że zapomniawszy mego posłannictwa, zapytałem towarzyszącego oficera:

— Cóż się z tym człowiekiem stało?

W odpowiedzi usłyszałem to jedno słowo z boleścią wymówione: Karan!

Kląkłem przy umierającym chcąc go spowiadać; lecz widząc go głuchym i niemym na moje wołanie wzywające go do żalu, udzielam mu tylko ostatnie namaszczenie. Kiedy ścierał olej święty z czoła, świątnik pragnąc mi lepiej przyświecić, zbliżył latarnię do jego twarzy, a jam poznał w konającym Sokołowskiego; i znowum się zapomniał i przerwał modlitwę wykrzyknieniem: to Sokołowski!

—Niestety! usłyszałem okropne potwierdzenie tego w odpowiedzi:

— Tak jest.

Niewiem jak skończyłem ten święty obrządek, bo oczy łzy zakryły, ręce drżały, ale Bóg mi to przebaczy, to było nad siły moje.

Nieszczęśliwy nasz Sokołowski jakby tylko czekał na to opatrzenie ś. Sakramentem, gdyż jam skończył modlitwę, on skończył życie.

— Sokończył życie powtórzył X. Zaremba i dodał pocieszając się: Sokończył i swe cierpienia! Requiescat in pace.

— Wywiedziałem się, mówił dalej kapłan zamkowy, co było powodem takiej kary, a z nią i takiej śmierci. Osiemdziesięciu kilku konfederatów, zostających w aresztach zamkowych zrobiło tajną konspiracją pod przewodem Sokołowskiego, aby uderzyć na załogę rossyjską, i jeżeli będzie można, zamek opanować, albo wydobyć się z niewoli. Tę konspiracją wydał towarzysz konfederat spółwięzień, tylko luter, Zeliński czy Zieliński. Zaraz skazano Sokołowskiego na pałki, a z innemi co będzie jeszcze zrobiono nie wiadomo.

Po tak bolesnem dowiedzeniu się o zgonie Sokołowskiego, zaraz postanowił X. Zaremba wystarać się, aby po raz drugi złożył jego zwłoki w grobie na cmentarzu P.

Maryi. W tym celu około godziny 10. rano poszedł do mieszkającego w pałacu XX. Lubomirskich, w rynku komendanta Absielowicza; lecz warta mu powiedziała że wyszedł na nabożeństwo, a co potwierdziło dzwonicie dzwonek zawieszonych na ganku ratusza, w którego izbie kucpiekiej w urzędzonej cerkwi odbywało się nabożeństwo Rossyjskie.

Udał się więc na ratusz i w jego sieni oczekiwał na wracającego komendanta, aby mu swoją prośbę przedłożył. Po wysłuchaniu go, komendant dał mu odmowną odpowiedź. „Prawo wzbrania mi udzielić pozwolenia na pochowanie w miejscu poświęconem winowajcy.“

I wykonaniem zostało to prawo, a u stóp baszty Sandomirskiej zamku Krakowskiego pogrzebano Sokołowskiego.

W siedm dni po tem zdarzeniu do zakrystyi kościoła N. P. Maryi, przyszła jakaś wiejska kobieta z listem, na którym był następnny napis:

Do przełożonego kościoła N. P. Maryi w rynku Krakowskim.

— Trzeba ją zaprowadzić do ks. Sufragana, rzekł X. Zakrystyan, a kleryk Kawski wypełnił to polecenie i zaprowadził ją do ówczesnego Archipresbitera kościoła NP. Maryi, ks. Kielczewskiego, ztąd sufraganiem zwykle tytułowanego.

Zapytany od niego kleryk: Cóż mi to za białogłową sprowadzasz Jędrusiu?

— Przychodzi z listem do Jaśnie Wielm. Sufragana.

— A od kogo?

— Mówcież, rzekł kleryk, a kobieta skłoniwszy się powiedziała:

— Od Pani Sokołowskiej z Ibramowic.

— Co? od Pani Sokołowskiej, obadwaj zawołali z zdziwieniem, wywołaniem wspomnieniem Sokołowskiego, którego wypadki im wiadome były.

Kobieta powtórzyła jeszcze raz od kogo przychodzi, dodając: Imość moja po śmierci Jegomości i gdy panicz poszedł w świat na wojaczkę, osiadła w klasztorze panien Ibramowskich, kędy sobie chwaląc pana Boga żyjemy.

Odebrany list od niej podał kleryk Sufranowi, a ten kazał mu wyprowadzić kobietę do przedsionka, a samemu wrócić. Co gdy się stało, oddał mu list mówiąc: Odpieczetuj i przeczytaj, czego ta jak się zdaje biedna matka żąda? bo ja dziś mocno na oczy boleję. Jakoż Kawski przeczytał mu list następujący.

Szanowny ojcze duchowny!

„Świadomo mi że grzeszę, nie bacząc że Bóg wiara a sen mara i idę za jego objawieniem: ale gdy niewodzi ono mnie la złe tylko na dobre, to jest ku adoracyi N. Królowej nieba i ziemi, mogę zda mi się bez obrazy Boskiej wykonać myśl choć poczętą ze snu takiego.

Nad rankiem dnia świętecznego opieki N. P. Maryi

zobaczyłam jakby na jawie mego kochanego jedynaczka. Na pojawienie się syna uradowało się serce matki, ujęłam go w moje objęcia, a on mię upieściwszy i ucałowawszy, rzekł do mnie: Wymodliłem nawiedzenie ciebie by w dręczącej cię od tyłu miesięcy niewiadomości o mnie, przynieść ci ulgę doniesieniem, żeś szczęśliwy! Jedno moje życzenie w jednej pokornej proźbie zanoszę do ciebie rodzicielko moja.

Na krakowskim smętarzu przy kościele NP. Maryi w Rynku po nad grobem, w którym w zimie chowają zmarłych, ratująca mi życie N. Panna Marya objawiła się oczom moim. Postaraj się aby w zawdzięczeniu tego cudu, stanęła w tem miejscu statua podobna zupełnie do tego wyobrażenia jakie jest na obrazie przy drzwiach tego kościoła do ulicy Floryańskiej.

To powiedziawszy znów się pieścił i całował. Byłam szczęśliwą łudząc się że jestem w jego, a jam była w snu objęciach. Lecz w tem nagle się budzę z jakąś bojaźnią zabaczenia tej supliki synowskiej, i dopiero gdy się przekonałam, że ją w pamięci usadowiłam, mogłam się zająć myślą jak ją spełnić.

Niedługo w frasownej byłam niepewności, bo przyszła mi skoro w tem determinacya, by prosić iżbyś szanowny ojcze duchowny był exekutorem życzeń syna mego. Ale nie folguje mi ciągła turbacya, ażali prośba nieznanomej nie będzie zbyt śmiałością, a wykonanie jej ambarasowne i utrudzające. Bóg za to wynagrodzi, a ta która się pisze najpokorniejszą służebnicą waszą szanowny ojcze duchowny, wdzięczną być nieprzestanie.

Zofia Sokołowska. (D.n.)

Potęga przemysłu.

I.

Przemysł wywiera szczególną władzę przeobrażającą. Zwolenników jego nie odstraszy, ani odległość, ani powierchowność, ani też pochodzenie przedmiotów, jakimi się zajmuje. Są li dalekie czy bliskie, piękne czy brzydkie, wysoko położone czy niskie, to jest dla nich obojętne. Jeżeli by można użyć tego porównania, przemysł jest jakby owe prawdy ewanigeliczne, które bez ognia i miecza wszędzie znajdują swoich uczniów i apostołów. I zdaje się pocieszającym przemawiać głosem: „przynoście mi co małe i pogardzone, ja je przeobrażę i wywyższę.“

Nie koło pereł i brylantów, nie koło złota i srebra krząta się przemysł; przy nich bowiem mogłyby miliony ludzi głodem umrzeć. Mniej cenne, poziome chwytą on przedmioty, brudny liść tytoniu, nie pozorny len, zbita w kołtuny bawełna, kopcające węgle, proste żelazo, burak zbłocony, i inne tym podobne ziemskie plody, to są przedmioty jego niezmordowanych zajęć. Źródło bogactwa z drobnego tryska pyłu, i szeroka płynie rzeka ku możnym i bo-

gatym, karmiąc, pojąc, i ubierając po drodze miliony ludzi głodnych, spragnionych i nagich.

Przemysł nie zatrzymuje się przy rzeczach małej ceny, on się zniża nawet aż do przedmiotów pogardzonych. Zbiera jak w ewangelii okruchy z pańskich stołów spadające, by darmo nie przepadły. Łachmany żebraka w ręku fabrykanta papieru stają się jedną z kosztowniejszych przemysłu gałęzi. W pysznych gmachach spoczywają starannie ułożone czekając na przeobrażenie swoje w biały papier. Obok cieńszych spoczywają także łachmany grubsze wełniane, które inny znowu oczekuje los. Fabrykant papieru, widząc że nie zdołają pokryć kosztów fabrykacji, albo ich używa do gnojenia pól, by mu zmartwychwstały pełnemi kłosami, albo innych używając środków, z szkaradnej gąsienicy cudnego tworzy motyla. W tym celu rzuca je na czyszczącą i gręplującą maszynę, umyślnie na to wynalezioną przez Karola Thoma w Kriegstetten, koło Soloturny, i sprzedaje potem jako nową wełnę fabrykantom sukna. I jak cudowne musi to być przeobrażenie, kiedy cetnar wełnianych łachmanów, kosztuje 1 zlr. 30 kr. jak są dobrze przeczyszczone podnosi się nagle do ceny 10 zlr. Zagadkę tę rozwiązuje dopiero fabrykant sukna, wyrabiając z przegreplowanych łachmanów piękną suknię nową, albo nową i piękną koldrę wełnianą. Kto wie ilu z nas cieszyło się już nieraz w życiu nową suknią, która niegdyś ledwie pokryć zdołała nagość żebraka. A nawet to, co przy gręplowaniu takiej wełny odpada, nie ginie marnie, ale się przerabia po innych fabrykach papeteryi, sukiennych tapetów, prostej białej, lub pruskiej barwy niebieskiej.

Jak proletarjusz co zbiera pozostałe w polu kłosa przemysł składa nawet papierowe okrawki. Wie on dobrze że z fenika grosz a z grosza talar powstać może i że ten talar dobyć można z tych pogardzonych, nogami deptanych okrawków.

Chodźmy do fabryk masy papierowej, jakie znajdują się w Altenburgu, Brunswiku, Dreznie, Frankfurcie nad Menem, Gotha, Norymberdze, i t. d. a zobaczymy te okrawki rozbite na rodzaj ciasta, rzucone w formy, napojone olejem i wodą klejową, czyszczone, wytoczone, wyszlifowane, pomalowane, i polakierowane, i zobaczymy zmartwychwstanie tych okrawków, tak dawniej pogardzonych, w pysznych tabakierach i twarzach, a często nawet w znakomitych utworach sztuki, jak tego dowodzą te dwa cudne lichtarze, w katedrze Erfurckiej.

Lalka dziecienna, ta na pozór tak licha gałąź przemysłu, jakiegoż nabiera znaczenia, gdy się zastanowimy że rozchodząc się w sposób zadziwiający, daje utrzymanie ogromnej liczbie biednych mieszkańców gór, mianowicie w turyngskich lasach. I tu massa papierowa odgrywa ogromną rolę przy głowach lalek. A trociny zapełniające ciało lalki, łącząc się tym sposobem z papierowymi okrawkami, ocierają nie jedną łzę nędzarza, dając mu łatwy zarobek.

Niemniejsze znaczenie nadaje przemysł stolarskim trzaskom. Są one podstawą największych fabryk pospiesznie tworzącego octu. Materiał ten, zda się tak niepożyteczny, człowiek pcha do wielkich beczek, na których stawia inne beczki wódką napełnione; wódka ta ścieka kroplami po trzaskach, a przez to zarabia w ciasnym miejscu ogromną ilość powierzchni, na której stykać się może z powietrzem. Za pomocą tak prostego urządzenia, spirytus przymuszony do tego, by się łączył z kwasorodem w powietrzu zawartym, wydaje najlepszy i najtańszy ocet.

Jeszcze więcej zadziwiającem jest użycie pyłu na drogach i gościńcach leżącego. Z niego to powstają owe wiszące lampki kwiatowe, które dziś w nowych kształtach najrozmaitszych, świecące cudnymi barwami brązu lub srebra, są ozdobą najwytworniejszych pokoi. Co pierwiej brudne i nieprzyjemne zaważało nam na drodze, to teraz w nowej szacie stało się nam lubym, domowym przyjacielem. Gdyby to podobne uszlachetnienie niskości społecznych zaprowadzić można było pomiędzy ludźmi, ileżby to nam przysporzyło prawdziwej rozkoszy i użycia.

Tuż obok błota postępuje piana morska. Jest ona podstawą ogromnej gałęzi przemysłowej, przez wyroby fajczane. Mineral złożony z krzemienia, gliny i oxydu żelaznego, wykopuje się po większej części w Turcyi, i na cały świat do lulek się rozchodzi. Dawniej bardzo wiele przepadało przy wierceniu, krajaniu i wyrzynaniu. Dzisiaj i te resztki nie przepadają, z nich bowiem powstają owe lulki, piankę naśladowujące. (D. c. n.)

Rozmaitość.

* Nasz stary pocziwy ogród Jezuicki zupełnej ma podlegz przemianie. Starowina ma zostać nowomodnym młodzieńcem; przystrojony w guście na pół francuskim, na pół angielskim. Stare aleje mają pozostać, poprzerzynane nowemi plantacjami, parki angielskie naśladowającemi. Miasto zrobiło układ z teraźniejszym właścicielem ogrodu w ten sposób, że sam ogród stanie się wyłączną własnością miasta; a za to główny budynek wraz z placem na nowe łaźienki przeznaczonym, przejdzie z posiadania emfiteutycznego na własność dziedziczną. Stare łaźienki mają być zupełnie zwałone, a plac ten od ulicy zupełnie będzie wolny. Nowe zaś łaźienki już się podnoszą; lecz po tych murach jakie teraz już stoją miarkując, nie wiele różnić się będą co do objętości od dawnych. Oby przynajmniej powierzchowność ozdoba budynku była godną miasta stołecznego które jedno prawie niema dotąd łaźienek dobrze i ozdobnie urządzonych, jakich pełno jest po innych mniejszych nawet miastach w naszym państwie i za granicą.

* Słyszymy, że ma być u nas założona fabryka Limoniady gazowej. Jest to trunek ulubiony frauczów, używany już i po miastach niemieckich, tani bardzo, a co najwięcej: mocno chłodzący. Zaprawę, przy zwiększających się codziennie upałach, niezłaby to była myśl, a przedsiębiorca tej nowości zasłużyłby na wdzięczność tych mianowicie, którzy po teraźniejszej spiekocie uganiać muszą za sprawami swemi. A jeżeli dobrze chłodzi, zdałby się może ten trunek w czasie zbliżających się kontraktów dla tych, co się łatwo zapalają przy kupnachs, nabywaniach, zamianach i sprzedażach. Szkoda że nie

posiadaliśmy tej lemoniady w czasie gdy przybył do nas ów kupiec z płótnami; nie byłby może tak łatwo wywiózł 38,000 zlr. z naszego biednego i zawsze łatwowiernego kraju za swoją zbieraninę towarów nie zbyt doskonałych, z jakimi nie mogąc je nigdzie sprzedać przyjechał do nas, z tego smutnego dla nas wychodząc przekonania, że „czego już nikt nie kupi:”

To nabędzie polak łatwowierny.

* Coraz głośniejsze rozechodzą się wieści o przybyciu Najjaśniejszego Pana do naszej stolicy, mającym nastąpić w połowie przyszłego miesiąca.

* Księgozbiór hr. *Kazimierza Stadnickiego*, znany w naszym świecie bibliograficznym, i nieraz zaszczytnie wspominany po piśmie uczonych, jako zbiór wielu rzadkości i wielu szacownych dzieł, umiejętnie przez dotychczasowego właściciela ułożony, nabył hr. *Wiktor Baworowski*, zamierzony jak wiadomo w ojczyznej literaturze, w której sam od najmłodszego pracuje wieku. Księgozbiór ten powiększa nowymi nabyciami, mianowicie rzadszych dzieł polskich a w czasie chce z niego nową zrobić fundacją naukową dla pożytku powszechności, niewiadomo tylko czy ta fundacja ma być dla Lwowa, lub dla innego miasta naszej prowincyi uczyniona. Jest to zapewne piękny i budujący przykład, mianowicie w człowieku młodym jeszcze i maitnym, który w sposób tak szlachetny używa darów jakimi go opatrzność obdarzyła.

* Piękną willę p. E. Winiarza koło Strzelnicy, nabył na własność hr. *Włodzimierz Dzieduszycki*.

Przyjechali od dnia 30. do 31. Maja. do Lwowa.

Niezabitowski *Włodzimierz* z Koropusza. Konarski *Ksawery* hr. z Dubiecka. Leszczyński *Jan* z Luczan. Łodyński *Hieronim* z Milatyna. Polanowski *Alexander* z Moszkowa. Szymanowski *Szymon* z Spassowa. Jordan *Teofil* z Nowegosioła. Stecki *Adolf* ze Stryja. Humnicki *Władysław* z Żurawna. Malczewski *Stanisław* z Cześnik. Matlachowski *Józef* z Dubia. Urbański *Rudolf* z Dobrosinu. Komarnicki *Roman* hr. ze Złoczowa. Wierzchowski *Edgar* z Pleśnian. Czerwiński *Julian* z Głińska. Koryłowski *Erazm* z Starego miasta.

PP. *Batowski Alexander* z Kulikowa. *Bogdanowicz Józef* z Brzeżan. *Thullie Jan* z Mokrzwawy. *Skrzyński Mieczysław* ze Szelpak. *Osmulski Władysław* z Kuliczkowa. *Padlewski Alexander* z Dołhego. *Udrycki Adolf* ze Stanisławowa. *Małachowski Ludwik* z Rokitna.

Wybranowski Roman z Dźwinogrodu. *Borkowski Włodzimierz* z Brzeżan. *Borkowski Seweryn* hr. ze Szuparek. *Tenczarowski Tomasz* z Brzeżan. *Grocholski Juliusz* z Medwedowic. *Dulski Karol* z Żukowa. *Skarbek Władysław* hr. z Tarnopola. *Bąkowski Jan* hr. z Mikołajowa. *Strzelecki Eugeniusz* z Wyrowa. *Guzkowski Kajetan* z Nowego miasta. *Nowosielski Ignacy* z Czyżowic. *Obertyński Leopold* z Krakowa.

Wyjechali od dnia 30. do 31. Maja ze Lwowa.

PP. *Dzieduszycki Alexander* hr. do Stryja. *Humnicki Ludwik* hr. do Rozpucia. *Skarbek Mieczysław* hr. do Tarnopola. *Romaszkan Stanisław* do Horodenki. *Ubysz Wacław* de Ostobusza.

PP. *Zagórski Mieczysław* do Woskowa. *Ceñner Albert* hr. do Podkamina. *Łączyński Hipolit* do Lipska. *Zgazdziński Konstanty* do Ulika. *Starzewski Józef* hr. do Polski. *Stecki Adolf* do Srodopolec. *Pilatowski Marcei* do Bóbrki.

Kurs telegrafowany z Wiednia 30. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 zlr.	126 1/2	Pożyczka 5%	79 1/10	4 1/2	—
Hamburg za 100 tal. banco	91 1/2	Akcyje banku			996
Londyn za 1 funt szterl.,	12 14	Kolej północna			1900
Medyolan za 300 lirów	125 1/2	Obl. ind.			71 1/2
Paryż za 300 franków	146 1/2	Nowa pożyczka z loteryą			101 1/10
Agio duk. ces.	31 1/2	Pożyczka narodowa			84 1/2

Wczorajszy Kurs Lwowski

	zlr.	5 kr.	49	zlr.	5 kr.	52
Dukat holenderski	5	54		5		57
Dukat cesarski	10	6		10		10
Półimperyal zł. rosyjski	1	57		1		58
Rubel srebrny rosyjski	1	53		1		55
Talar pruski	1	24		1		25
Polski kurant i pięćzłotówka	95	—		95		20
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	72	21		72		40
Galicyskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	84	—		85		—
5 proc. pożyczka narodowa						

Lwów, 25. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 zlr. 15 kr. do 40 zlr. — kr. — Żyta po 25 zlr. — kr. do 30 zlr. — kr. Jęczmienia po 23 zlr. — kr. do 24 zlr. — kr. Owsa po 16 zlr. — kr. do 19 zlr. — kr. Grochu po — zlr. — kr. do — zlr. — kr. Hreczki po 22 zlr. 45 kr. do 22 zlr. — kr. — Ziemiaków po 14 zlr. 30 do 17 zlr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 47 zlr. 30 kr. do 30 zlr. 55 kr. Sosnowego po 37 zlr. 30 kr. do 40 zlr. w.w. Cetnar siana 4 zlr. 15 kr. do 5 zlr. 5 kr. Centnar słomy 3 zlr. — kr. do 3 zlr. 30 kr. w.w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 Zlr. 10 kr. do 4 zlr. 17 kr. w.w.

DONIESIENIA.

Stefan Głuchowski

Jubiler i Złotnik

poleca szanownej P. T. Publiczności

Skład towarów galanteryjnych,

świeżo z zagranicy sprowadzonych, które po cenach najumiarkowańszych sprzedaje w swym handlu pod Nrem 234 w rynku. — Zawiązawszy stosunki z pierwszymi domami handlowymi za granicą, jest w położeniu wszelkim zamówieniom w jak najkrótszym czasie i pod najszlachetniejszymi warunkami szanownej P. T. Publiczności zadość uczynić.

(108)

(1—3)

Bei Franz Piller & Comp in Lemberg
ist zu haben:

Lembergs Anlagen

mit ihren Bäumen, Sträuchen und Stauden.

Ein Hilfsmittel zur Erleichterung des Studiums der Botanik für Gymnasial- und Realschüler

von

Johann Bapt. Langner,

Gymnasial - Oberlehrer.

Lemberg, 1854. Geheftet 8 kr. C. M.

(106)

(1)